Nr. 3009.

CURRENDA XIV.

A. D. 1880.

L. 2727.

Metryki śmierci osób wojskowych mają być bezzwłocznie naczelnikom gmin doręczane.

Otrzymaliśmy od c. k. Namiestnictwa rozporządzenie co do metryk osób zmarłych do wojska należących, które do wiadomości i zastósowania się Przewielebnemu Duchowieństwu udzielamy. Rozporządzenie to brzmi jak następuje:

Z c. k. Namiestnictwa. L. 9010.

Stósownie do rozporządzenia c. k. Ministerstwa spraw wewnętrznych z 12. Lutego b. r. l. 17511, uprasza się Przewielebny Konsystorz o polecenie bezzwłoczne podwładnemu duchowieństwu, któremu jest poruczone prowadzenie ksiąg metrykalnych, żeby wolne od opłaty metryki śmierci osób, które w chwili zejścia ze świata należały do wojska stałego lub milicyi krajowéj, przesyłali natychmiast naczelnikom gmin, w obrębie których takie przypadki śmierci się wydarzą.

Lwów, dnia 20. Maja 1880. W zastępstwie. *Loebl.*

Z Biskupiego Konsystorza,
w Tarnowie dnia 31. Maja 1880.

Nr. 2779.

Litterae Eminentissimi Cardinalis Miecislai Comitis de Ledóchowski contestantes perceptionem quotae 372 fl. v. a. per Dioecesim collectae ad tegendas expensas canonisationis B. Joannis de Rossi.

Rzym, 29. Maja 1880.

Najprzewielebniejszy Arcypasterzu!

Pośpieszam złożyć Waszéj Biskupiéj Mości winne podziękowanie tak w mojém własném, jak w imieniu Postulatoryi Sprawy Błogosławionego Jana de Rossi, za przesłane najłaskawiéj reńskich 372, na opędzenie kosztów przygotowującéj się Kanonizacyi tego świętego.

Dar tak hojny, szczodrobliwy i znaczny tem żywszą obudza wdzięczność postulatorów i Ponenta, im lepiéj są nam znane ciężkie czasy, które obecnie i w Galicyi czuć się wszystkim dają.

Mam ufność w Panu, że dobroć z jaką W. B. Mość prośbę moją przyjąć raczyła, i ofiarność jakiéj wraz z dyecezanami Swoimi tak świetnie i w tym przypadku uwydatnić zechciała, sowitą odbiorą za wstawieniem się Świętego, nagrodę.

A ponawiając wyraz głębokiego uszanowania i prawdziwéj wdzięczności, mam zaszczyt pozostawać

Waszéj Biskupiéj Mości najniższym życzliwym sługą

X. Mieczysław, Kard. Arcyb. Gnieźn. i Poznański.

E Consistorio Episcopali,
Tarnoviae die 2. Junii 1880.

Nr. 2788.

Hochwürdigstes Bischöfliches Ordinariat!

Die Direction der Leopoldinenstiftung für die katholischen Missionen in Amerika beehrt sich, den Empfang der Interessen aus der Stiftung Sr. Excellenz des Hochwürdigsten Herrn Bischofes Alois Freiherrn von Pukalsky im Betrage von 38 fl. 26 kr. mit dem verbindlichsten Danke zu bestätigen.

Wien, am 29. Mai 1880. *Ed. Angerer*, Central - Director.

E Consistorio Episcopali,
Tarnoviae die 2. Junii 1880.

Ostrzeżenie włościan polskich by lekkomyślnie kraju rodzinnego nie opuszczali, aby w Ameryce szukać rzekoméj poprawy losu swego.

Pod dniem 24. Marca 1880 L. 1574 przestrzegaliśmy Wiernych Dyecezyi Naszéj, by się nie dali uwodzić agentom lub téż innym rzekomym przyjaciołom, którzy ich namawiają do opuszczenia ojczystych zagonów, by w nieznanych sobie krajach Ameryki polepszenia losu swego szukali. Za pismem **Wieniec**, ogłosiła **Gwiazdka Cieszyńska** list wychodźcy polskiego, bardzo trafny, który przestrzega ziomków swoich by się do wędrówki żadnemi obietnicami i opisami szczęśliwéj doli skłonić nie dali, list ten dla wiadomości i użytku Przewielebnego Duchowieństwa umieszczamy dosłównie, jak go w Gwiazdce Nr. 20, 22 czytać można.

Nowy Jork w Północnéj Ameryce 4. Kwietnia 1880.

Z listów i gazet, jakie mnie z ojczystego kraju dochodzą, dowiaduję się o smutnéj wiadomości, że wielu włościan w Galicyi sprzedaje swe grunta i dobytek, i wyjeżdża do Ameryki, aby szukać w niéj jak to mówią: szczęścia. Mieszkając w mieście Nowym Jorku.

do którego portu przybijają pzeważnie prawie wszystkie okręty, przywożące do tutejszego kraju wychodźców z Europy, a więc i z krajów polskich, miałem sposobność rozmawiania z niejedną rodziną włościańską świeżo tutaj przybyłą, pochodzącą z krajów polskich, przeważnie z W. ks. Poznańskiego lub Galicyi. Widok większéj części tych rodzin włościańskich mimowolnie zakrwawić musi serce. Obdarte, wynędzniałe, najczęściéj bez grosza, nieznając ani niemieckiéj ani angielskiéj mowy, a więc nie mogąc się z nikim rozmówić, tułają się tak długo, dopóki je nie napotka jakiś agent, najczęściéj żydek polski, i nie wyśle o 1000 mil albo daléj w głąb kraju do karczowania lasów, obrawszy je poprzód tytułem faktornego z ostatniego grosza. Gdy tych włościan zapytałem, co ich właściwie spowodowało do przyjazdu, odpowiedzieli mi wszyscy bez wyjątku ze łzami w oczach, że namówił ich do tego agent gdzieś ze świata przybyły, albo żyd z miasteczka, lub często gęsto i karczmarz miejscowy, przedstawiając, że w Ameryce dają grunta za darmo, od których nie trzeba płacić podatków itd. Wielu z nich opowiadało mi, że mieli własne grunta i dobrze urządzone gospodarstwa, uwiedzeni jednak namowami, sprzedali takowe. Pieniądze ze sprzedaży otrzymane, rozeszły się na koszta dalekiéj podróży, tak, iż im prawie nic z nich nie pozostało. Płacząc nad smutną dolą swoją, przeklinali tych agentów, i karczmarzy którzy ich do tego nieszczęsnego kroku namówili. Radziby byli wrócić do domu, lecz nie mają pieniędzy na opłacenie miejsca na okręcie, a morza piechotą przebyć niepodobna. Zmuszeni są zatém tutaj pozostać, tułać się w obczyznie i zarabiać jako *dzienni najemnicy* ciężką pracą, w pocie czoła, na kawałek chleba.

Taki jest los prawie wszystkich włościan przybywających do Ameryki, a przyznacie, że wcale nie pociągający. Dlatego dowiedziawszy się o wychodźtwie wielu rodzin naszych do tutejszego kraju, słysząc, że i wiele innych z zamiarem tegoż się nosi, uważam za obowiązek, jakie mi sumienie i religja wzkazują, odezwać się do Was i przedstawić Wam tutejsze stosunki, w nadziei, że trafią do serc Waszych i powstrzymają Was od opuszczania rodzinnych zagród, i raz na zawsze odbiorą Wam chęć szukania „wiatru po świecie.“

Kraj, zwany Stanami Zjednoczonemi, obejmuje prawie całą północną część téj olbrzymiéj części swiata. zwanéj: Ameryką. Wielki ten kraj, kilka tysięcy mil długi i szeroki, zaludnia dotąd stosunkowo mała ilość mieszkańców, która wynosi około 37 milionów. W Stanach Zjednoczonych, państwie, które wy nazywacie zwyczajnie Ameryką, kwitną przeważnie handel, rzemiosła i najróżnorodniejsze przedsiębiorstwa, którym oddaje się $^3/_4$ części całéj tutejszéj ludności. Rolnictwem, tj. uprawą ziemi zajmuje się zaledwie $^1/_4$ część téjże. Ztąd téż pochodzi, że ludność skupia się głównie w miastach, podczas gdy kraj właściwy jest prawie pustym, przez ludzi niezamieszkałym. Są okolice, w których idąc przez cały tydzień a nawet i dłużéj, nie spotkasz ani jednego człowieka. Zarośnięte gęstymi lasami, których drzew niedotknęła dotąd siekiera, przepełnione są dzikiemi zwierzętami; człowiek w nich nie mieszka. Tu i owdzie wytworzyły się tylko osady ludzkie, zajmujące się uprawą ziemi. Nie sądźcie jednak, że to są nasze polskie wsie, w których dom koło domu, a sąsiad po za płotem. Nie, takich wsi tu nie ma. Domostwa oddalone są

od siebie o ½ mili i daléj, a ludzie w nich mieszkający, zajęci pracą, nie widują się z sobą całymi tygodniami. Przyczyną tego rozproszenia zagród jest okoliczność, że każdy, który zakupi sobie kawałek roli, zazwyczaj stawia w środku téjże domostwo i budynki gospodarcze, aby ułatwić sobie uprawę ziemi i przywóz zebranego zboża. Każdy też żyje tutaj dla siebie, nie troszcząc się o drugiego. O tém pożyciu sąsiedzkiém, o téj pogadance wieczorną porą po całodziennéj pracy z sąsiadem, który niejedno poradzi, a w nieszczęściu pocieszy, mowy tu wcale niema. Do sąsiada daleko, a chociażby się go chciało odwiedzić, każdy obawia się opuścić zagrodę swoją na czas dłuższy, aby w nieobecności jego nie naszli domu rabusie, lub w niektórych okolicach dzicy Indianie i nie zrabowali jego mienia. Pojmiecie łatwo, że w takich okolicach, gdzie ludzi mało, także i kościołów jest nie wiele, a jeżeli istnieją, to gdzieś o kilka mil od siebie. Takie to życie tutaj po wsiach amerykańskich; czy one przyjemne i dla was odpowiedne, sami osądzić zdołacie.

Z powyższych słów moich możecie się domyślić, że w kraju takim jak tutejszy, w którym stosunkowo do jego wielkości tak mało ludzi się znajduje, leżą całe obszary ziemi przez człowieka nie zamieszkałéj i zupełnie nieuprawnéj. Ziemie te są przeważnie własnością różnych kompanij, najczęściéj kolei żelaznych, które zakupiły je od rządu dla spekulacyj. Ponieważ jednak zarośnięte są lasami lub zasypane kamieniami, których dla braku roboczych rąk usunąć nie można, nie przynoszą one tym kompaniom żadnego prawie zysku. Brak ludzi do pracy, dlatego też ziemia, którąby naprzód oczyścić należało i uczynić ją w ten sposób zdolną do uprawy, nie daje żadnego dochodu. O ten dochód jednak kompaniom chodzi, dlatego też chcąc dostać ludzi do pracy, postarali się o agentów we wszystkich krajach Europy, a więc i w Galicyi, którzy bądź sami, bądź za pomocą karczmarzy po wsiach lub żydów z pobliskich miasteczek, namawiają was do sprzedania gospodarstw i przeniesienia się do Ameryki, gdzie wam obiecują złote góry. Wielu ich też usłuchało, a sprzedawszy gospodarstwa za pół darmo, wyjechali do Ameryki, w któréj *z gospodarzy* stali się *parobkami*. Żałują oni tego kroku, przeklinają chwilę, w któréj dali się do przyjazdu tutaj namówić, lecz żal ich po niewczasie. Zmuszeni są już tutaj pozostać, zarabiając na chleb jako dzienni wyrobnicy, żyjąc bez nadziei, wśród obcych ludzi, których, nie znając ich mowy, nawet zrozumieć nie mogą. Tęskno im, smutno, wstyd ich, że się dali oszukać i ulegli namowom złych ludzi; dlatego jednak że się wstydzą, jeżeli który z nich napisze list do krewnego lub sąsiada do wsi swéj rodzinnéj, donosi zwykle, iż mu się dobrze powodzi, chociaż mu się serce z boleści kraje. Częstokroć nieumiejącym pisać, wygotują takie listy tutejsi agenci, którzy podają wam w nich niestworzone banialuki o tutejszéj ziemi. Nieszczęściem, wy w nie wierzycie, dajecie się złapać na lep, wyprzedajecie się, i przyjeżdżacie tutaj, aby powiększyć liczbę biednych i nieszęśliwych ofiar tutejszego kraju. Przestrzedz Was o tém, jest zadaniem niniejszego listu.

Agenci, którzy dla własnego zysku, aby z was wyciągnąć co się tylko da, i od kompanij bądź tutejszych, bądź okrętowych w Hamburgu i Bremie otrzymać wynagrodzenie, namawiając do wychodźtwa do Ameryki, przedstawiają wam, iż dostaniecie w niéj urodzajne grunta zupełnie za darmo. Jako żywo, oszukują was! W Ameryce nie dostanie nikt

nic za darmo nawet od własnego brata, a więc i gruntu, za który kompanie obecnie go posiadające rządowi zapłacić musiały. Grunt ten trzeba kupić, tóżsamo krowę, konia, sprzęty gospodarcze itd., a na to potrzeba koniecznie nie małych pieniędzy. Kto tutaj nie przywiezie z sobą większéj sumy pieniężnéj, nic nie poradzi, nigdy się na własność nie okupi, i zmuszony jest jak parobek lub dzienny wyrobnik pracować całe życie na wyżywienie tak siebie jak i swojéj rodziny. Przyznacie, że przyjeżdżać po to do Ameryki, wydawszy ciężkie pieniądze na podróż, wcale nie warto, bo podobne zajęcie każdy, który chce pracować, znajdzie w domu u zamożniejszego sąsiada lub we dworze, a na robocie nie brak.

Zanim wam przedstawię wydatki, jakie ponieść trzeba dla okupienia własności w Ameryce i urządzenia sobie gospodarstwa, muszę wam wyjaśnić, iż pochodzę z Galicyi z okolic Tarnowa. Urodzony na wsi i prawie między wami wychowany, znam dokładnie wasze stosunki majątkowe, które we wszystkich powiatach Galicyi są prawie jedne i te same. Wiedząc zatem wysokość sumy pieniężnéj, jaką po sprzedaniu gospodarstwa rozporządzać możecie, twierdzę stanowczo: że po opłaceniu kosztów podróży, mało który z was jest w stanie przywieść do tutejszego kraju tyle pieniędzy, ażeby mógł sobie jakie takie gospodarstwo urządzić. To twierdzenie postaram się wam udowodnić liczbami.

Przypuszczam, że któryś z was zamyślając wyjechać do Ameryki, sprzedaje grunt budynki, bydło, sprzęty n. p. za 600 złr. w. a., a chociażby nawet za więcéj. Przypuszczam, chociaż to bardzo rzadko, że nie ma żadnych długów, iż nie winien ani bankowi, ani za podatki, ani karczmarzowi lub któremu z sąsiadów, słowem, że wszystkie pieniądze schowa do kieszeni i razem z żoną i dziećmi udaje się w podróż. Sześć setek złotych reńskich — ładny to pieniądz w domu — to majątek. Że nie pomoże mu jednak i nie wystarczy do pożądanéj poprawy jego losu w Ameryce, poznacie z mego dalszego wywodu.

Podróż od was do Ameryki, rachując opłatę za koléj żelazną do Hamburga, a ztamtąd za miejsce na okręcie, wyniesie do 90 złr. za jedną osobę. Gdy zatém rodzina składa się tylko z 4 głów, same koszta podróży wyniosą 360 złr. Jeżeli ta rodzina nie wydała nic na ubranie, na żywność w drodze itp., co prawie jest niemożebném, wysiada z okrętu w Nowym Jorku mając jeszcze do rozporządzenia sumę 240 złr. Tutaj pieniądze liczą na dolary. Dolar równa się $2\frac{1}{2}$ złr. w. a. to znaczy, że chcąc kupić amerykańskiego dolara, trzeba za niego zapłacić austryackimi pieniądzmi 2 złote reńskie i 50 centów. Z tego się okazuje, że wymieniwszy 240 złr. na dolary, otrzyma się za nie niespełna 100 dolarów. To jest cała suma, którą dotycząca rodzina jest w stanie jeszcze rozporządzać.

W Nowym Jorku, gdzie jedynie handel i przemysł fachowy wykształcenia wymagający, zapewnić tylko mogą utrzymanie, tu rodzina włościańska, która tylko zdolną jest zająć się uprawą ziemi, punktu oparcia nie znajdzie. Nie znajdzie go również w pobliżu tegóż miasta, nawet w okręgu kilkuset milowym, bo przestrzeń tę zapełniają gęsto położone miasta, a grunta wiejskie między niemi leżące są własnością bogatych ludzi. którzy pobudowawszy na nich pałace i pozakładawszy ogrody, spędzają w nich skwarne miesiące

letnie. Zresztą grunta w téj okolicy są bajecznie drogie, dają stosunkowo mały procent dochodu i nie są w ogóle na kieszeń naszych włościan. Gospodarstwa wiejskie, osady zajmujące się uprawą roli, oddalone są od Nowego Jorku o mil 1200 i daléj. Tam też rodzina włościańska przybyła do Ameryki udać się musi.

Opłaciwszy agentowi za pośrednictwo a następnie za przejazd koleją żelazną lub na okręcie co najmniéj 60 dolarów, przyjeżdża do miejsca swego przeznaczenia, w którém jak sądzi znajdzie swoje szczęście, z kwotą mniéj więcéj 40 dolarów, która jéj ze sprzedaży ojcowizny jeszcze pozostała. Jeżeli nie poznała już w drodze skutków sprzedania gospodarstwa i opuszczenia rodzinnéj wsi, tutaj z pewnością i prędko je pozna.

Najpierw dowiaduje się, że gruntów za darmo nie dają, lecz że takowe jak wszędzie tak i tutaj trzeba zapłacić t. j. kupić — i poznaje chociaż za późno, że agenci i karczmarze, którzy jéj przedstawiali w Ameryce złote góry, po prostu ją oszukali. Za grunt zarośnięty drzewami i krzakami, który wykarczować potrzeba, lub zasypany kamieniami, które usunąć należy, każe sobie kompania zapłacić tyle a tyle, chociażby nawet nie wielką sumę. Ale na tym gruncie nic się nie urodzi; nie można go zaorać, obsiać, bo na nim drzewa i kamienie. Trzeba zatem zabrać się do pracy, drzewa ściąć, pniaki wykopać, kamienie wydostać z ziemi, a wiecie z doświadczenia, że do tego potrzeba niemało czasu i niemało pilnych i silnych rąk. Zadanie to nie lada, bo w pracy téj nikt nie pomoże, sama jedna rodzina spełniać je musi. Policzcie, wiele to czasu potrzeba, pracując w kilku ludzi, ażeby wykarczować i przysposobić pod pług taki kawał ziemi, który w razie obsiania mógłby wyżywić chociażby nawet nieliczną rodzinę. Przez ten czas trzeba jeść, koniecznie zatém kupić ziarna na chléb i trochę ziemniaków, za które się płacić musi z przywiezionych pieniędzy. Nie dość na tém. Trzeba pobudować domostwo, aby się schronić przed słotą, dzikiem zwierzem lub złym człowiekiem; chcąc mieć kapkę mleka, potrzebna i krowa, a ta kosztuje tutaj 20 do 30 dolarów tj. 50 do 75 złr.; koniecznėm jest także kupić konia do ściągania wyciętego drzewa i wykopanych pniaków i kamieni, a ten kosztuje do 40 dolarów t. j. do 100 złr. Wykarczowawszy kawał roli, potrzeba ją zorać, zawlec, bydło robocze jest niezbędném, potrzeba je zatém kupić. Ziemię należy obsiać, za zboże na siew trzeba znowu zapłacić. Aż do zbioru z pola jeść koniecznie się musi — płać zatém za zboże, ziemniaki i t. d. bo ich nikt za darmo nie dostarczy.

To są wydatki jakie każdego przybyłego czekają. Policzcie je razem a uważnie i powiedzcie: czy ma który z was tyle pieniędzy, aby był w stanie kupić i urządzić sobie w Ameryce gospodarstwo mogące mu zapewnić wygodne życie, a przynajmniéj dostatniejsze od tego, jakie w rodzinnéj wsi prowadził? Z całą pewnością, że nikt z was a przynajmniéj bardzo mało. Jakiż zatém cel waszego przyjazdu? Dlatego więc sprzedajcie wasze gospodarstwa, aby wydać pieniądze na daleką podróż, narażać się na jéj niebezpieczeństwa i przybyć z gołemi rękami do téj Ameryki, w któréj jak powtarzam za darmo nikt nic nie dostanie. Czy pomyśleliście kiedykolwiek nad tém, co was tutaj na wypadek przyjazdu waszego czeka? Nie! i stokroć nie! Gdybyście się bowiem zastanowili, nie wybieralibyście się tak lekkomyślnie do Ameryki, jak to obecnie gazety raz po raz piszą.

Nie mogę powiedzieć, aby ziemia w Ameryce była nieurodzajną. Wykarczowana, spulchniona i uprawiona rodzi, w niektórych okolicach nawet obficie.

Lecz jak wam przedstawiłem, do przysposobienia jéj pod uprawę, potrzeba najpierw znacznych pieniędzy (1200 złr. to jeszcze mało), a następnie długiéj, wytrwałéj ciężkiéj pracy. Nie chcę również twierdzić, aby nie znajdowała się tutaj ziemia wykarczowana, uprawiona, stosowna do zasiewu. Nie, urządzone gospodarstwa, z budynkami nawet, można tu zakupić, ale cena ich porównawszy złoto austryackie na tutejsze dolary, jest podwójna a nawet potrójna, jak podobnych gospodarstw w naszym rodzinnym kraju. Chcąc je kupić, trzeba za nie płacić po 5 lub 6 tysięcy złotych reńskich a nawet i więcéj. Taniéj kupić ich nie można.

O tém wszystkiém ci ludzie, którzy was namawiają do wyjazdu do Ameryki, z pewnością nie mówią wam i nie powiedzą; gdyby wam to bowiem powiedzieli, musiałby który z z was być chyba wprost z rozumu obranym, aby zechciał sprzedać swoją ojcowiznę i jechał aż tutaj po to, aby się narazić na nędzę i na równie ciężką pracę, która mu jego losu poprawić nie zdoła.

Ciż sami ludzie wmawiają w was, że w Ameryce żadnych podatków płacić nie trzeba. Gdybyście się chociaż cokolwiek zastanowić zechcieli, już z tego samego ocenić bylibyście w stanie, że postępują z wami *nieuczciwie*, albowiem obiecują wam rzeczy, które są nieprawdopodobne a nawet wprost niemożebne. Każdy z was płaci do rządowéj kasy powiatowéj większy lub mniejszy podatek, który jak wiecie służy na utrzymanie wojska, pensie urzędników, szkoły i ich nauczycieli. Bez wojska, szkół i urzędów, a zatem bez żołnierzy, nauczycieli i urzędników żadne państwo w świecie istnieć nie może, a więc nie może bez nich istnieć i tutejsze w północnéj Ameryce. Tak jak u was, tak i tutaj mamy wojsko, szkoły i liczne urzędy, na których opłacenie potrzeba pieniędzy, a te otrzymuje rząd z podatków, jakie od tutejszych mieszkańców ściąga. Każdy, kto posiada tutaj dom, grunt, w ogóle nieruchomą własność, płacić musi rok rocznie podatek. Gdyby w Ameryce podatków nie było t. j. gdyby tychże tutejszy rząd od mieszkańców nie pobierał, pytam się was z czegóż opłaciłby wojsko, nauczycieli i urzędników? Pomyślcie tylko nad tém, a poznacie od razu, że ci ludzie, którzy was namawiają do wyjazdu do Ameryki, nie postępują i nie myślą uczciwie; bo dla tego samego iż przedstawiają wam nieprawdziwe rzeczy, widoczném jest, że działają na waszą szkodę i zupełnie na wiarę zasługiwać nie mogą.

Kreśląc wam tutejsze stosunki, nie mogę również pominąć klimatu w Ameryce, o którym jeszcze w krótkości pomówię. Podczas gdy w Europie macie 4 pory roku, t. j. wiosnę, w któréj się trawa i zboże zielenią, drzewa pękają, rozwijają i kwitną, napełniając powietrze cudowną wonią — daléj lato, w którém zboże dojrzewa, a wy je zbieracie jak niemniéj siana i koniczyny — jesień, podczas któréj czynicie zimowe zasiewy, — wreszcie śnieżną i mroźną zimę: tutaj w Ameryce mamy właściwie tylko dwie pory roku, t. j. lato i zimę, bo temperatura powietrza zmienia się tak nagle z zimnéj na gorącą i odwrotnie, że pory: wiosenna i jesienna trwają zaledwie po kilka dni i prawie nie są nam znane.

Zima w Ameryce bardzo przykra. Wprawdzie nie ma tu tak silnych mrozów jak u was, śnieg nie tak wielki i zwykle po kilku dniach topnieje, lecz za to ustawiczne zimne wiatry, kości przenikające, i powietrze mgliste wilgotne a ciężkie. Każdego dnia pada po kilka razy deszcz i śnieg na przemian, a nawet w téj chwili, gdy ten list do was piszę. Bardzo to niezdrowa pora roku, podczas któréj tysiącę ludzi, a szczególnie dzieci z przeziębienia umiera.

Po zimowéj porze następuje lato i to nagle w kilku godzinach. Tutejsza pora letnia jest jeszcze nieznośniejsza. Mamy tu upały, o jakich wyobrażenia nie macie, a słońce pali tak silnie, że tysiące ludzi rażonych promieniem słonecznym umiera na udar mózgowy. Rosy rannéj i wieczornéj, która orzeźwia powietrze, tego chłodu nocną porą, który przyczynia się do dobrego snu wzmacniającego po całodziennéj pracy siły człowieka, w Ameryce nie ma. Od samego wschodu słońca tj. od wczesnéj rannéj godziny, aż do samego zachodu, tj. wieczora, słońce piecze nieprzerwanie, a rozpalone powietrze nie jest w stanie ochłodzić się nawet w nocy. Ztąd też duszność nie do opisania, która spać nie pozwala; ludzie nie mogąc wytrzymać w izbie, układają się na kamieniach i trawie, walcząc całą noc z komarami, które obsiadają ich chmurami i kąszą nielitościwie. Są okolice, a głównie te, w których znajdują się osady rolne, w których przez całe lato nie spadnie ani kropla deszczu, a w nich panuje zazwyczaj zgniła gorączka tj. żółta febra, która jak cholera trwa epidemicznie i zabiera tysiączne ofiary.

Tak to wygląda ta Ameryka, o wyjeździe do któréj niejeden z was marzy. Opisałem Wam ją w krótkości i wyjaśniłem tutejsze stosunki, abyście zrozumieli co was w niéj czeka. Że wam opisałem prawdziwie i sumiennie, możecie mi już wierzyć dlatego, że będąc sam w Ameryce i odwodząc was od przyjazdu do téjże, nie mogę być przez was posądzonym o jakieś ukryte lub stronnicze pobudki. Znając tutejszy kraj, a również i wasze położenie majątkowe, uważałem za obowiązek odezwać się i póki jeszcze czas powstrzymać was lecących na oślep na swoją własną zgubę. Ameryka nie dla was. Posłuchajcie więc méj rady; nie pozbywajcie się waszych gruntów, domostw i dobytku, zostańcie w domu i uprawiajcie swą ziemię. Nabierzcie raczéj przekonania, że ta święta ziemia, która wyżywiła waszych dziadów, ojców i ich rodziny, i was jeżeli nie będziecie się oddawać pijaństwu lub próżniactwu, lecz jeżeli będziecie pracować, niezawodnie wyżywi. Nie szukajcie chleba gdzieś po świecie za morzami, bo go macie w domu.

Wiem, że wskutek nieurodzaju czasy na was ciężkie, lecz miejcie nadzieję, że i te za wolą Boga zmienią się na lepsze, a gdy przyjdzie rok urodzajny, wynagrodzi on wam teraźniejsze straty. Pamiętajcie, że Bóg najwyższe dobro, a „kogo on stworzy, tego z pewnością nie umorzy," nie zapomni zatém i o was, jeżeli do Jego przepisów i przykazań się zastosujecie. Powtarzam, wierzcie moim słowom, bo te posyłam wam mając jedynie dobro wasze na oku. Gdy im wierzyć nie zechcecie, nie mnie ale sobie zaszkodzicie.

Agentów, arendarzy i w ogóle tych wszystkich, którzy was namawiają wyjechać do Ameryki, nie słuchajcie, bo dla własnego zysku, zmierzają oni do waszego nieszczęścia. Raczéj odstawiajcie ich bezzwłocznie do urzędu, aby ich tenże za rozmyślne a podstępne przeciw wam czynności, jako oszustów surowo ukarał.

Teraz żegnajcie mi i zachowajcie powyższe me przestrogi głęboko w waszéj pamięci.

Stanisław Artwiński.

Wzywamy tedy ponownie Przewielebne Duchowieństwo odnośnie do Kurendy IX. by to wychodźtwo wszelkiemi siłami powstrzymać się starało.

Z Biskupiego Konsystorza, w Tarnowie dnia 8. Czerwca 1880.

JOSEPHUS ALOJSIUS,
Episcopus Tarnoviensis.

E Consistorio Episcopali,
Tarnoviae, die 15. Junii 1880.

Tarnoviae 1880. Typis A. Rusinowski, Typographi ad honores Episcopalis, Impensis Consistorii.